



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

### Twórczość dramatyczna Juliusza Słowackiego

przez

**Piotra Chmielowskiego.**

(Dalszy ciąg).

I.

Charaktery w dramatach Juliusza są zazwyczaj bardzo dobrze pomyślane, ale niezawsze należyce rozwinięte.

Najlepiej niewątpliwie umiał malować istoty fantastyczne lub w wyobraźni tylko zrodzone, jakkolwiek mające znamiona czysto ludzkie.

Goplana, ta niewiasta „z mgły i galarety“ wedle określenia rubasznego Grabca, zakochana tak dziwnie, a jednak nie bez pewnego uzasadnienia psychologicznego, w nieokrzesanym gburze i pijaku, dobra i łagodna, choć swemi zachciankami wprowadza zamęt w sprawy ziemskie; leniwy Chochlik, zawsze rzeźwy i ochoczy w spełnianiu rozkazów królowej Skierka: są to postaci doskonale, wykończone, których istocie i sposobowi zachowania się, jako całkiem fantastycznemu, nie zarzucić niepodobna, które przyjąwszy takimi: jak je wystawił poeta, musimy przyznać zalety wielkiej poetyczności, wielkiej lotności wyobraźni. A choć ich pochodzenie zależnem jest od dramatu Szekspira „Sen nocy letniej“, nie podobna przecież odmówić im oryginalności w wykonaniu tak znakomitem, że wobec Szekspirowskiego, za wyższe musi być poczytanem, we właściwym sobie fantastycznym zakreśleniu. A obok tych jasnych, świetlanych i dobrych duchów, wymienić też można trzy postaci

czarownic, budzących grozę, a lekkich, prawdziwie czarodziejskich, jakie znajdujemy w „Beatrice Cenci“. I tu przypominają się czarownice z „Makbeta“, ale również nie na niekorzyść Słowackiego. Inna rzecz, czy te postaci, zarówno jasne jak i czarne zostały zużytkowane w sposób dramatyczny. Grają one pewną rolę w dramatach, ale nie taką, żeby ich wprowadzenie było rzeczą konieczną w rozwoju akcji, żeby wyrażały jakiś moment psychologiczny, nie mogący być oznaczonym za pomocą innych środków. Musimy je przeciwnie poczytać za ładne zmyślenia, dlatego wprowadzone do dramatu, że w ich malowaniu czuł się poeta swą siłą.

Z temi zupełnie fantastycznymi istotami łączę wspomnienie tych postaci Słowackiego, które jakkolwiek znajdują się w warunkach życia ziemskiego, były raczej tworam wyobraźni niż odtworzeniami jakichś osobistości rzeczywistych. Mam tu na myśli głównie Kordyana i Lillę Wenedę.

Kordyan to jakby wcielenie „myślo-rej“ strony życia samego poety. Wrażliwy niezmiernie marzyciel, łatwo z jednej ostateczności popadający w drugą, rozczerowany przedwcześnie co do sławy, miłości i wiary dogmatycznej, zdenerwowany życiem wyobraźni przeważnie, zdolnym jest do poświęcenia, do ofiary z istnienia, ale nie zdolnym do czynu, wymagającego nie tylko odwagi, ale także przytomności umysłu, wytrwania i cierpliwości. Przemówić gorąco i namiętnie, wziąć na siebie dokonanie przedsięwzięcia od którego inni odstąpili—to potrafi, ale zwyciężyć widm własnej fantazyi, pokonać nerwową drażliwość, uderzyć śmiało nie zdoła, raczej padnie omdlały, nie spełniwszy zabójstwa, do którego tak długo się podniecał. Czy poeta świadomie dał Kordyanowi to zdenerwowanie, czy też wpłynęło ono wprost tylko z jego usposobienia, nie rozstrzygam, bo nie mam do rozstrzygnięcia dostatecznych danych; w każdym jednak

razie wybornie się powiodło odtworzenie tego rysu we wspaniałej scenie, w której Kordyan stacza nierówną walkę ze Strachem i Imaginacją. Scenę tę zestawilibym ze wspaniałymi scenami snu Ryszarda III, u Szekspira i snu Franciszka Moora w „Zbójcach“ Schillera. Mniej natomiast udatnie wrażliwość Kordyana przedstawiona została w szpitalu w rozmowie z doktorem, niezbyt szczęśliwem naśladowaniem Mefistofelesa.

Lilla Weneda, to uosobienie łagodnego, cichego poświęcenia zharmonizowane we wszystkich częściach, nierzające żadną nutą fałszywą. Wszystkie jej przemowy, czy do siostry (Rozy), czy do ojca, czy do Lecha i Gwinony nacechowane są taką miłością, tak wzniosłem pocuciem idei ofiary, tak poetycznem natchnieniem, że w całym zasobie dramatycznych postaci Słowackiego nie podobna znaleźć czystszej, sympatyczniejszej i poetyczniejszej; wobec niej Kordelia Szekspirowska błędnie. Czar atoli tej postaci, rozważanej sama w sobie, nie czyni ją dramatyczną naprawdę, z powodu, że jej czynny (oczarowanie węzów za pomocą śpiewu, żeby nie pożarły jej ojca, nakarmienie tegoż ojca liłiami wodnemi), chociaż ładne jako fikcja poetycka, nie budzą przekonania o ich rzeczywistości i każą rozważać tę osobistość jako ładne urojenie, mające wartość swą poetycką, lecz nie oparte na twardym i trwałym gruncie rzeczywistości.

W najbliższem powinowactwie z Lillą Wenedą zostają dwie Amelie, wielce do siebie podobne; jedna w Horsztyńskim, druga w „Mazepie“. Pierwsza, bardzo serdeczna, bardzo miła, kochająca brata więcej niż miłością siostrzaną, nie ma w dramacie w tym kształcie, w jakim go obecnie posiadamy, t. j. ułamkowym, wyraźnej roli, występuje, zaledwie parę razy i to w charakterze biernym. Amelia w „Mazepie“ ma rolę znacznie większą i tragiczną; posiada dużo



uroku, a jej niezasłużone cierpienia, jej niewyznana miłość idealna do pasierba czynią ją bohaterką wielce uroczą. Pomimo jednak tego czaru, jaki ona rzuca na widza lub czytelnika, niepodobna jej uznać za wykończoną i zharmonizowaną w sobie. Poeta dał się pociągnąć swej wyobraźni i dla efektu wyrazowego poświęcił wewnętrzną jednolitość osobistości. Zbyt naiwną się okazuje, jakby jakaś całkiem nie doświadczoną i marzycielską dziewczyną, gdy w skardze na zaczepkę Mazepy, wypowiada przed królem te słowa:

*Zawstydzona, ile że ubrana mniej skromnie  
Bom nie myślała, że mnie kto z ludzi nadybie,  
Musiałam spuścić oczy i w rzeczulki szybie,  
Wolać rybek na pomoc i prosić o radę.*

Wiersze są ładne, ale niestosowne w ustach kobiety zameżnej, która w parę sekund potem używa wobec tegoż króla słów energicznych, nie owiniętych nie tylko w gazę poezji, ale nawet w bawelną konwenansu.

Albo jeden frazes albo drugi był niewłaściwym w ustach Amelii; kto takie myśli wypowiada ten „rybek“ na pomoc nie woła i o radę ich nie prosi. Słowacki raz chciał nadać swojej postaci ton elegijno-poetyczny, drugi raz — pewny siebie i śmiały — i popełnił błąd pod względem psychologii i dramatyczności.

Uczuciowe charaktery męskie dorównują żęńskim, poczynając od Rizzia w „Maryi Stuart“ a kończąc na Gianim w „Beatrix Cenci.“ Posiadają one przedewszystkiem wielką umiejętność wypowiedziania swych wzruszeń słowami pełnymi świeżości i wdzięku. Nie tętni w tych słowach energia, siła wybuchowa, namiętność ześrodkowana, ale jakieś łagodne rozmarzenie, które nawet w groźnych sytuacjach nie ustaje, jakby owi ludzie pewni byli, iż im zawsze starczy czasu na wyrażenie pięknie utoczonych frazesów. Po większej części słowa ich nie wzruszają nas głęboko; nie przypominam sobie, ażeby łza napływała do oka, gdy owi bohaterowie skargi na swoje nieszczeście rozwodzą; ale w każdym razie przyznać im musimy, że się w pospolitość nie bawią i umieją dobrze bronić praw swego serca czy też swej fantazji. Są to poeci, którym Słowacki udzielił daru swej wyobraźni i swego języka; nie dziw zatem, że mówią ładnie, że się nie kłopotają w wyborze przenośni i porównań.

Dręczące wahanie się połączone z silną uczuciowością czyni Szczęsnego w „Horsztyńskim“ jedną z najtragiczniejszych osobistości u naszego poety, lecz tylko w pomysle, nie w wykonaniu. Szczęśny postawiony między miłością dla ojca a obowiązkiem względem kraju, targany przytem uczuciem niebraterskiem jeno dla siostry znajduje się w tak naprężonej kolidzji dramatycznej, i to kolidzji realnej, jak żaden inny z bohaterów Słowackiego. To stanowi dodatniość pomysłu, więcej mającego tragiczności aniżeli pomysł Hamleta, którego zresztą Szczęśny jest naśladowaniem. Gdybyśmy posiadali dokonanie dramatu, kiedy Szczęśny po gwałtownej śmierci ojca, któremu nie pośpieszył na pomoc, miał się zdecydować wreszcie na czyn jakiś, posiadalibyśmy charakter rozwinięty i wykończony; tak jak jest obecnie, przedstawia się nam tylko jako zarys. Są w nim momenta prześliczne jak obie rozmowy z Amelią, jak rozmowa z Nieznajomym, ale są to tylko momenta, które nam nie dają jeszcze należytego pojęcia o całości charakteru.

Osoby uczuciowe, skłonne do pozowania i dramatyzowania życia swego wybornie zostały zarysowane w „Niepoprawnych“ i to zarówno w najlepszych swych przedstawicielach: Fantazym i Idalii, jak i w gorszych od nich hr. Respektach. Pierwsi są istotnie poetyczni, naprawdę szlachetni; drudzy tylko w słowach wyuczonych i poetyczność i szlachetność mają na ustach. Tyle subtelnej ironii, ile jej znajdujemy w rysunku owych poetycznych przedstawicieli pozowania, nigdzie indziej nie zużył Słowacki, a jednak nie odebrał im sympatii pewnej, jaką mieć musimy dla ludzi naprawdę utalentowanych i zasadniczo szlachetnych,

Charaktery, których istota jest czyn, działanie, a więc naprawdę dramatyczne, nie udawały się tak szczęśliwie Słowackiemu. Zazwyczaj dobrze nakreślił pierwszy ich szkic, ale nie potrafił go wypełnić rysami szczegółowszemi.

Pięknymi w dodatkiem znaczeniu są postaci Kirkora i Dyany, ale obie jedynie w zarysie. Słowa ich są zawsze doskonałe, a niekiedy świetne; czyny natomiast albo nie następują wcale, albo odbywają się za kulisami.

Czynne charaktery ujemne są szerzej rozwinięte, lecz niezbyt udatnie. W pierwszej sztuce Słowackiego: „Mindowe“ mamy aż trzy takie charaktery (bohater tytułowy, Heidenrich, Trojanat); lecz każdemu z nich czegoś brakuje; w ogóle za dużo mówią, a za mało czynią, uprzedzają działanie przechwałkami i nie dokonywają tego, co zamierzali, dumi i ambicyi mają podostatkiem, ale za mało siły woli, lub zamało umiejętności korzystania z pory odpowiedniej do czynu, ażeby mogli obudzić grozę. Zdobywają się co najwyżej na jakiś jeden popisowy wysiłek, a i tej w dodatku nie przynosi im pożądanego wyniku. W „Maryi Stuart“ jest jedna wyborna sylwetka podrzędnej w dramacie osobowości, mściwego Duglasy, lecz postać od niego ważniejsza, Henryk Darnley i Bothwell nie mogą zadowolnić wymagań estetycznych; pierwszy z powodu nijakości swojej, drugi z powodu niejasności dążeń obok pretensyi do jakichś głębin myślowych.

Duma i usposobienie despotyczne mają dobrych przedstawicieli w Hetmanie, ojcu Szczęsnego („Horsztyński“) i w Wojewodzie, mężu Amelii („Mazepa“); złość, mściwość i gburowatość w Gwinonie, małżonce Lecha („Lilla Weneda“), niekzemność i tchórzostwo w Negrim („Beatrix Cenci“).

Próżność, zmysłowość, pycha i instynkty mordercze charakteryzują Balladynę, nie mającą w sobie żadnego uczucia prawdziwie ludzkiego, prócz dziwnej jak na taką naturę, wstydlivosti w chwili, gdy szła zabijać; to też rys ten musimy uważać za niewłaściwie dobrany, za wypływ pewnego upodobania poety w przedstawianiu bohaterów swoich w koszuli tylko. Zkądinąd charakter Balladyny jest jednolity; konsekwencye złego czynu idą za sobą nieubłagane i zabijają w duszy demona pychy i żądzy władzy wszelkie inne uczucia i złąd Balladyna jest złą córką, złą żoną, złą kobietą, jest wcieleniem namiętności niskich i krwawych.

Wyjątkowe miejsce w dramatach Słowackiego zajmuje Beatrix Cenci. Zabójczyni ojca w celu ochrony czystości dziewiczej, jest spokojną, choć wie, że śmierć ją czeka; wyrzutów sumienia nie doznaje, całkowicie się oddając uczuciu miłości do malarza Gianiego, a w chwili pożegnania z nim wypowiada słowa pełne prostoty i rzetelności. Nie znosi przymusu, ni fałszu; to też naciąganiem wydają mi się wyrażenia, w których powiada, że „przecuciami dawno rozkochana“, w Gianim — niewidzianym przez siebie nigdy przedtem — „jemu broniła wierności — straszną ofiarą.“ Ładnie to brzmi, ale w ustach Beatryczy mniej jest właściwe, niż np. w ustach której Amelii.

Słowo wreszcie o błaznach, wprowadzonych przez Słowackiego do dramatów, na wzór Szekspira, Kalderona i Wiktora Hugo. Dwu ich mamy: Nicka w „Maryi Stuart“ i Ślaza w „Lilli Wenedzie.“ Pierwszy jako dowcipniś nie robi wielkiego wrażenia, dopiero przy śmierci wspomnieniem o sieroctwie swoim porusza serce, drugi jest od początku do końca figurą nieudatną; jego dowcipy nie są brane z właściwej mu sfery, pachną książką, a raczej zbyt czem zapatrzeniem się na Szekspira; a rola jego w dramacie jest poprostu niesmaczną i psuje podniosłe wrażenie całości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

FRYDERYK RÜCKERT.

## POWIETRZNE ŻYCIE.

Stać się powietrzem, wzlecieć w lazury  
I gonić chmury,  
Nad gór szczytami szybować w świecie,  
Oto jest życie!

Kolysać dęby i kolebać sosny,  
Pójść w płas radosny,  
Pchnąć duszę w cienie powstałe w niebycie,  
Oto jest życie!

Z drzemiacem echem wciąż się przekomarzać,  
Nimfy zatrząwać,  
Ponad padołem kapać się w błękiecie,  
Oto jest życie!

Różom pochlebstwem uśmiechy wyludzić,  
Gwoździaki studzić,  
Liliom zasłony zdmuchywać w rozkwicie,  
Oto jest życie!

Oblubienicom rozwiewać welony  
I włos trefiony,  
Z obojga w dani woń zbierać obficie,  
Oto jest życie!

Składać kadzidło i mirrę w ofierze,  
Z rozkoszą szczerze,  
W święte płomienie wlewać serca bicie,  
Oto jest życie!

Owoc otrząsać, nosić perły rosy,  
Pochylać kłosy  
I winne grona całować w zachwycie,  
Oto jest życie!

Kwiatom pobudkę wydzwonić na łące,  
Nim wszędzie słońce,  
Sny wieczorami splateć rozmaicie,  
Oto jest życie!

W skwarne południe, kiedy słońce pali,  
Nurzać się w fali,  
Ponad błoniami ulatać o świcie,  
Oto jest życie!

Wykraść, ukryte w róż dziewiczym łonie  
Czarowne wonie,  
By pieśń poety owiać niemi skrycie  
Oto jest życie!

Władysław Nawrocki.

## POGAWĘDKA.

„Pany wielmożne i jasne giną w mroku niepamięci, a mnie się biednemu świeci, że ja nie całkiem zagasną,“ — tak pisał nieodżałowany „lirnik wioskowy“ przeczuwając, że choć jedno serce się znajdzie, w którym piosenka lirnicza długo brzmieć będzie. I nie jedno, lecz tysiąc znalazło się serce, nie „roczek jeden“ lecz długie, długie lata przeżyje jeszcze w pamięci i sercu narodu. Ale ileż to nocy bezsennych potrzeba nad pracą spędzić, ile przecierpieć, przewalczyć, by krótkie choćby wspomnienie znaleźć na kartach dziennika! — Na pochwałę zazwyczaj skąpi jesteśmy: —



Zasłuż, panie bracie," powtarzamy z całą powagą, tak, że zdawałoby się, iż nie jesteśmy skłonni do palenia marnych kadzideł.

Niestety! inaczej się dzieje, gdy błysnie przed nami tytuł jakiś albo nazwisko, które, niegdyś, ozdobiło męża zasługi. Dziś ono jest pustym dźwiękiem tylko, lecz, że przy niem słyszmy brzęk złota; dość więc tak pospolitego wypadku, jak np. ożenienie się hr. Hipolita z hrabianką Matyldą, ażeby zaświerzbiali nam palce do napisania dytyrambu.

Na szpaltach jednego z dzienników warszawskich zwrócił naszą uwagę wiele mówiący tytuł: *Badeniorie i Krasinscy*. Myśleliśmy, że będzie to, aczkolwiek krótka, ale zawsze coś mówiąca wzmianka o zasługach wyżej wymienionych. Nie—cel główny autora nie na tem wcale polegał. O tem, czem byli Wincenty i Zygmunt Krasinscy, jako też o prezesie ministrów i marszałku Galicji, braciach Badenich—wiedzieliśmy oczywiście i bez artykułu—rzeczywistą dla nas nowością było to: kiedy i jakim sposobem poznał ordynat Opinogórski pannę Badeniównę; jaki hrabia wprowadził go do domu Badenich, i, jak hrabia ordynat, uzyskawszy pozwolenie bywania w celu starania się o rękę panny—posiadł jej względy, no—i poszli sobie do ołtarza. Cztery szpalty druku na monografię dwóch rodów, to—za mało, ale za dużo na ogłoszenie światu, że hr. Y żeni się z hrabianką X.

Nie mam nic jednak przeciwko temu, uśmiecham się tylko, gdy mi mówią o zdemokratyzowaniu się naszego społeczeństwa. Arystokrata spi w głębi naszej duszy, i niewiekszego, jak powyższy, wypadku potrzeba, by oczko swoje stworzył i powiedział: jestem?—Rodzą się, żenią, umierają ludzie i o tem nie wspominamy wcale, lub jakąś krótką wzmiankę w rubryce kronikarskiej znajdujemy—lecz tu do sakramentu małżeństwa przystępuje bogaty pan, mitrą hrabioką ozdobiony.

Ale—co pozatem?

Jak dotąd—niewiele o zasługach nowożeńca wie wiemy. Zasługi przodków nie mają tu nic o powiedzenia:—„Wolę być przodkiem potomków, niż potomkiem przodków," rzekł niegdyś p. Józef Kremer, gdy jedna z wielkich pań gorszona było nieszlacheckiem jego pochodzeniem. Lecz wbrew wszystkiemu nadajemy zaiste wartość jakąś tytułowi i krwi.—Ordynat—ojął sobie za żonę córkę hr. Badeniego i oto robiono szpalt cztery z tego tak zwyczajnego wypadku; w Mińsku gubernialnym zmarł Jan Niesłuchowski—i dotąd, nie wszystkie pisma nawet wspomniały o tym zgonie poety i zacnego bywatela, który na otoczenie swoje wywierał wpływ dodatni i prowincyi swojej był duszą żywiącą.

Jako poetę nie zamieścimy go w rzędzie drugiej potęgi gwiazd nawet; ale okrom słońc potrzebne są i światła małe, palące się blaskiem czyścym.

Takim był Niesłuchowski.

W niektórych piosnkach jego odzywała się zewna nuta Syrokomli, czasem zadzwonił wojskiego róg myśliwski, gdy psy gończe pognały ładami wola, łosia lub niedźwiedzia. W poezji jednak nasycić się mógł tylko temi łowami, bo od młodości przykuła go choroba do łóża, z którego podnieść się nie mógł. Niesłuchowski nie tylko po polsku pisał: jako Janko Łuczyna wiele przesłanych piosenek białoruskich stworzył, tłumaczył też wybornie na język miejscowy niektóre gawędy Ludwika Kondratowicza. Przed śmiercią miał s. p. Niesłuchowski zebrać wszystkie utwory swoje, by w książce ogłosić, —zwracamy na to uwagę panów wydawców naszych, a szczególnie nacisk kładziemy na białoruskie poezye Niesłuchowskiego, które w ogólnym zbiorze znaleźć się powinny.

Do najwięcej znanych u nas prac poety, należą *Akwarele z życia myśliwskiego*. „Poznanie ogółu tych prac nie będzie bez pożytku dla miłośników poezyi naszej. Dużo tam znajdziemy rodzinnego piękna i ciepła, woni lasów litewskich, tęsknoty do tych głębi puszczy, za któremi wzdychał przykuty do łóża choroby poeta.—Mniejsza

o jego rodowód, lecz on sam wart serdecznego wspomnienia i trochę pamięci.

Przykre na nas wrażenie zrobiły—mówimy otwarcie—zamieszczone w ostatnich numerach „Kraju“ odwiedziny p. Hösicka u Juliana Klaczki. Sądy wydawane dzisiaj przez znakomitego krytyka o wieszczach naszych, a o Słowackim *par excellence*, odbiły się o duszę echem dawnych niechęci do Juliana, przebrzmiałym zgrzytem zawiści, tem wszystkim o czem szeroko dawniej mówiono, ale co ostatecznie nie było winą jednego tylko autora „Ojca Zadżumionych“ lecz okoliczności, sprzeczności zdań i poglądów ówczesnych. Nie dziwimy się, że starzec siedmiesięciodwuletni w tych zeskorpiał poglądach, lecz dziwić się możemy jego słowom powtórnym przez p. Hösicka: „że—Mickiewicz *nie rozumiał* Słowackiego, bo jak się miał przed Klaczką wyrazić:—„Co wy tam widzicie? Jak Boga kocham czytam, czytam i *nie nie rozumie*!“ Dziwi nas też słowa Mickiewicza o swoim Waleńrodzie jakoby wypowiedziane: „To był pamflet!“—dziwi nas też zmieszanie się Słowackiego, który, po przerwaniu mu mowy przez Stefańskiego okrzykiem zachwytu—stracił wątek myśli i usiadł jak strusia. Nie wierzyć nie mamy prawa, a wierzyć nie sposób. Zresztą wizyta p. Hösicka, u Klaczki nie nam ciekawego nie przynosi, jak to widać z ostatnich trzech zeszytów „Kraju.“ Na czem się skończy—zobaczmy.

Z wypadków ostatnich dwóch tygodni na bruku warszawskim do najważniejszych zaliczyć musimy, wystawienie w teatrze Wodewilu przez trupę łódzką p. Michała Wołowskiego, czteroktowego dramatu Władysława Rabskiego p. n. „Prześlągany.“

Nie wiele mamy oryginalnych sztuk scenicznych napisanych tak dobrze, a co więcej, że rzecz całą nie obraca się około romansu, który najczęściej kończy się przeniewierstwem—lecz idzie dalej, sięga głębiej i ramami swoimi obejmuje kwestye życia narodowego, stosunki społeczno-polityczne w W. X. Poznańskim.

Zdaje się, że autor dramatu, jako urodzony, wychowany i nie małą rolę swojego czasu odegrawający w poznańskim,—omawiane przez siebie stosunki powinien znać dobrze, a jeśli i przez zbyt czarne okulary patrzył, jeśli zanadto sięgnął do trzew szlachty wysprzedającej Niemcom ojcowiznę,—jeśli z aniołów szatanów nawet zrobił: całą odpowiedzialność na siebie wziąć musi i odpowiedzieć przed znieważonym społeczeństwem—my zaś, patrzyliśmy tylko na dzieło wzrokiem krytyka, szliśmy za rozwojem akcji przedstawionego nam dramatu, zajęci głównie stroną artystyczną i psychologiczną utworu—i mieliśmy zadowolenie niemałe.

Oto treść dramatu:

Dwie partye: ludu i szlachty walcą o krzesło poselskie.—Zygmunt Wolski stoi na czele pisma ludowego: Trybuna!...—W niezłomność idei redaktora lud wierzy,—znana jest prawda i potęga charakteru Wolskiego. Ale oto los chciał, że kandydatem do krzesła poselskiego jest Karol syn hr. Wareckiego, którego córka Marta, wdziękami swemi podbiła ludowego trybuna. Oczywiście, że dumny pan na taki związek zezwolić nie może;—Marta waha się z oddaniem ręki Wolskiemu, lecz ten, prawdziwy syn gminu, nad swoją namiętność nie zna nic (w stosunku do rodziny) wyższego. Bez zezwolenia i błogosławieństwa ojca obejść się nie można,—a gdy się Marta waha, bierze ją w swoje ramiona w chwili, gdy hrabia ojciec z towarzystwem do salonu wchodzi.

Skandal!—tego duma Wareckich nie zniesie. Zwraca się ku gościom i cedzi przez zęby:

— Zapomniałem oznajmić państwu—że córka moja jest narzeczoną...

Honor domu uratowany—czas ma zmienić wszystko.—Ale Marta nie chce wyrzec się kochanka i jego zostaje żoną.

Walka przedwyborcza trwa w całej pełni. Brat Marty ma pewność zwycięstwa—między ludowcami trwoga.—Lecz poseł wybrany przez naród, by godnie mandat swój nosił, powinien być jak ła czysty. Tymczasem Karol, zgrawszysy się w karty, musi majątek swój sprzedać.

Kto da najwięcej?

Komisyja kolonizacyjna.

Obrońca spraw narodowych, sprzedający w dzień niemal wyborów ziemię Niemcom?

To ohyda!

Jak tu wyjść z labiryntu wypadków?—A! może być sprzedaż symulacyjna.

Niegdyś w domu Wareckich znalazł przytułek zubożały ich krewny—Ruszkowski. On musi kupić majątek symulacyjnie i od siebie komisyji sprzedać. Po walce—stary krewny zgadza się, by uratować honor domu swych chlebobawców. Scena pyszna, wstrząsająca, pełna potężnej grozy.—Karłowice sprzedane—pod pręgiem opinii publicznej idzie Ruszkowski, i to go zabija. Chcąc się oczyścić...—po śmierci, każe staremu słudze w dzień zgonu swojego wręczyć papiery Wolskiemu. Szala wyborcza pochyla się w stronę Karola—lecz oto Wolski mu straszną broń przeciw kandydatowi w papierach nieboszczyka. Wypadkiem Marta staje się panią tajemnicy. Ona nie może zgodzić się na hańbę rodziny—wywiązuje się walka między żoną, a mężem.—Wolski nie może tych dokumentów spalić, o których już wiedzą jego stronnicy—Marta nie może przenieść tej plamy ojca i brata.—„Nie słuchasz prośb żony, posłuchaj matki!... szepce... Dziś nią uczułam się!“—Krzyk radości wypada z ust męża;—korzysta z tego już żona—matka i po chwili prośb, zaklęć i błagań—staje się posiadaczką fatalnych papierów i rzuca je w ogień.—Karol zostaje wyborcą. Wolski przez lud potępiony, a gdy hr. ojciec rzuca słowo podzięk za dokonany czyn zniszczenia dokumentów, on w twarz mu ciska obelgą i—jako jak pokuty—wyrzeka się na zawsze—żony!—Zakończenie straszne—lecz taki charakter jak Wolskiego, który gotów wszystko zdruzgotać na świecie—inaczej by nie postąpił. Widzimy tam siłę uczuć bez delikatności uczuć, brutalność gminną, która niezapewniała szczęścia arystokratycznie wychowanej Marcie. Akcja dramatu rozwija się z niesłychaną szybkością, dyalog barwny, żywy, pisany jedynym, a czystym językiem, psychologia w nim nie ponosi szwanku. Widz może być zgnębiony, uczucie podrażnione, lecz krytyk przyznać musi stanowczo ogromną siłę dzieła Rabskiego. Słyszeliśmy, że dyrekcyja teatrów rządowych zwróciła uwagę na utwór omawiany przez nas. Możemy cieszyć się tym nabytkiem i życzyć autorowi wytrwałości i pracy na wdzięcznym dla niego polu.

Wytrwałość i dobra wola, postawienie nieraz ideału wyżej nad zysk materyalny,—nietylko zadowolenie moralne może przynieść, ale nawet i w życiu codziennym pożytek niemały. Powtarzaliśmy już nieraz, że nasi kupcy, mając stosunki handlowe z domami niemieckimi, do korespondencji używali zawsze języka niemieckiego. Pisma nasze wzywały tych panów do zmiany zwyczaju, choćby z tej racji, że niejeden dom handlowy, nie mogąc z naszymi kupcami porozumieć się inaczej jak tylko po polsku, będzie zmuszony trzymać u siebie polaka i dać tym sposobem zarobek ludziom, których nie bardzo losy pieczęją.

Nie bierzemy za złe tym, którzy na handlu istnienie swoje i rodziny opierając, lękali się tej nowości; nie byli pewni jak na nią odpowiedzą kupcy niemieccy, z którymi się już nie od dzisiaj miało stosunki, wyrobiło się też kredyt i znaczenie. Pocucie narodowej godności, (przy hecach hakatystów), cierpiało może—ale interes, to sobie pan taki, któremu się narażać nie można, który nieraz w swych rękę trzyma to, co się nazywa sumieniem, uczciwością i patriotyzmem nieraz. Pokazało się jednak, że bez wszelkiego narażenia się temu potentatowi, można zadość uczynić i drugiemu, w którego imieniu przemawiały pisma nasze. Oto:

Jeden z ekpedytorów tutejszych, idąc za głosem prasy, aby w stosunkach używać tylko języka polskiego, wysłał na próbę kilka zamówień nakreślonych po polsku. Dom handlowy hamburski wykonał to czego od niego potrzebowało, ale upraszał w liście bardzo uprzejmym, żeby nadal nie korespondowano po polsku, bo to mu stanowi pewną trudność w wyszukaniu tłu-



macza. Pan R. odpowiedział na to, a odpowiedział po polsku, jak na człowieka upartego przystało, że jeżeli dom hamburgski życzy sobie zachować z nim nadal stosunki, musi się zgodzić na prowadzenie korespondencji w języku polskim, w przeciwnym razie będzie zmuszony p. R. gdzieindziej się przenieść. A że jak rzekliśmy, interes to wielki pan—cdwrotną zaraz pocztą odpowiedział szef kantoru hamburgskiego, że przyjęto już korespondenta polaka, że stosując się do życzenia p. R. nie tylko będą załatwiać żądania wymienione w listach pisanych po polsku, ale nawet i odpowiadać na listy—po polsku.

Z tej wiadomości, poczerpniętej z „Kuryera War.” widzimy, że kto się nie nastraszył wilka i do lasu poszedł, wilk nic nie zrobił złego, przeciwnie, spełnił słuszne żądanie z całą gentelmańską uprzejmością.—A zatem—można chodzić do lasu, tylko odrobinię odwagi i poszanowania samego siebie mieć, potrzeba.

Lecz komu, a komu odwagi nie brak to naszym panom cyklistom, natomiast brak poszanowania... dla swojej osoby. Niedawno odbyty wyścig stuwiorstowy był iście zabawą na złamanie karku urządzoną. Nie dość, że pękały gumy z kół, że coś się tam psuło i przyskało, lecz w końcu taki jakiś zamęt wśród pędzących zrobił się, że jeden na drugiego nalatywał, wywracali kozła za kozłem, wreszcie wpadli na swoich leaderów i tu już bezładna kupa po środku drogi się wytworzyła. Szczęściem, że nikt nogi ani ręki nie złamał, a że parę sińców na łbie siadło, że nosy się potłukły—na takie blachostki nie zważają ci, którzy sportowi hołdują.—Do mety pierwszy dotarł pan Wychowski, on też otrzymał dyplom „mistrza jazdy w Królestwie Polskim” jemu też zaraz na mecie owacyę zrobiono. Ha! dobre i to!—tak mało mistrzów mamy!

Przed kilku dniami Warszawa przyjmowała w swych murach, aż 700 doktorów spieszących na kongres do Moskwy. Cudzoziemcy dni kilka bawili u nas, zwiedzając ciekawości naszego miasta, pełno ich było wszędzie i—jeżeli wierzyć wieściom do naszych dochodzących uszów—Warszawa się im podobała, zrobiła nawet wrażenie wcale pięknego miasta. W teatrze na „Niewiernej” Braca miałem przy sobie dwóch Włochów: Nie rozumieli nic, ale, że grana sztukę znali, przysłuchiwali się jej z zajęciem. Dowiedziałem się z prowadzonej rozmowy, że gra pani Ludowej była przedmiotem ich uwag. Chwalili bardzo temperament artystki, gra zaś Leszczyńskiego zupełne zyskała ich uznanie. Ale—dwóch Niemców spotkanych w Saskim ogrodzie, niemiłosiernie krytykowało posagi na zakrętach alei stojące. Obchodzili je ze stron wszystkich, dotykali palcami, i sami nie widzieli, co o ich piękności sądzić.—Wyrozumieć jednak mogłem, że Ogród Saski za piękny był dla nich. Być może, łaskawi panowie—być może! Ale czy wam na myśl przyszło dla czego dzisiejsza Warszawa tak uboga jest w dzieła sztuki? czy nie warszawskiego nie znajdzie się w Berlinie waszym? a gdy tam coś jest—czy to był podarunek wam przez nas dany? Kto, a kto—to wy, panowie Niemcy, bądźcie ogłędniejsi z sądami waszemi, bo zaprawieni na Koperniku i mniejszemi nie pogardzaliście rzeczami

Były już różne dni krytyczne przez Falbą przepowiadane.—Gromy biły, ziemia się trzęsła, wody z łożysk swoich występowały, różne nieszczęścia trapiły ludzkość—ale—oto nowa, a straszliwa przepowiednia:

D. 13 Listopada r. 1899 Kometa ma spotkać się z ziemią.

Bagatela!

Co potem będzie?

Trzask—huk... i może przebudzenie się w świecie lepszym.—

Czy źle?...

Słowo wam daję, że gdybym uwierzył nawet w przepowiednię Falbą nie uczułym wcale dreszczu strachu. Bylibyśmy świadkami jakiegoś szalonego pędu, katastrofy wspaniałej. A później—gdzieś, hen, na gwieździe jakiej opowiadalibyśmy sobie o wrażeniach doznanych... Życie jest nudne, zegarowe urządzenie świata nie przedstawia ciekawości żadnej. Falb chce

nam niespodziankę sprawić.—A no—dwa lata tylko oczekiwania.

Tym czasem zapoznajmy się jeszcze z niejakim Piotrusiem Kalinowskim, parobczakiem pod Celestynowem.—Chłopak ma się odznaczać niezwykłą pamięcią, dość powiedzieć, że prawie całego „Pana Tadeusza” na pamięć umie, i chętnie recytuje go przed wiejskimi słuchaczami swoimi. Obecnie zabrał się do nauczania się Grażyny.

Słowa, wypowiedziane z pamięci przez takiego Piotrusia, mogą niemały wpływ wywrzeć na umysły słuchaczy. Lecz jeżeli „Pan Tadeusz” choć w części zrozumiany zostanie, Grażyna nie zrobi wrażenia. Niezłe byłoby może, by ktoś, który zna tego Piotrusia właściwszą mu książkę do rąk podsunął. Tu skarby znaleźć można w piosnkach Lenartowicza, gawędach Syrokomli i innych obrazkach z życia wiejskiego. Grażyna musi przebrzmieć bez echa—podczas gdy taki „Maciek” Lenartowicza do głębi duszy wstrząśnie. Piękną jest rzeczą pamięć, ale z niej dobry użytek zrobić potrzeba.

Na zakończenie dzisiejszej pogawędki z wami szanowni czytelnicy—umieszczamy tu ogłoszenie na operę:

1) Libretto ma być osnute na tle stosunków swojskich.

2) Opera mu zapełnić cały wieczór, zaczem ma być przynajmniej trzy aktowa.

3) Najlepsza uzyska nagrodę w kwocie 2,000 złr. jak równie 10% tantiemy.

4) Termin nadsyłania prac pod adresem dyrekcji teatru lwowskiego we Lwowie do d. 1. Stycznia 1899 roku.

??

## ZEMSTA

NOWELLA

przez

ZNICZA (MARYĘ PAPROCKĄ).

(Dokończenie).

Gdy się sama znalazła znowu sobie powtarzać zaczęłam, że się cieszyć powinna, bom do swego celu nareszcie doszła, i mścić się teraz mogę. Lecz by tę zemstę wykazać sił w sobie nie czułam, zemstę miałam tylko na ustach i w pamięci a serce mówiło „kocham” siłą woli tę zemstę sobie przypomniałam i słowo to wymawiałam, ale zwykle tak bywa, że jeżeli jakie uczucie nas opuszcza, wtedy najgłośniejszymi o nim, żeby chociaż dźwiękiem słowa przykuć je sobie do serca.

To było rano. Już do wieczora tego dnia do oranżeryi nie zajażdżałam. Następnego dnia także Lola samego ciagle zostawiałam, dopiero trzeciego uzbroiwszy się w odwagę weszłam swobodnie i wesoło, jakby w moim pozowaniu do portretu żadnej nie było przerwy. Spojrzałam po otoczeniu i znać było brak mojej ręki, niektóre przedmioty ze swego miejsca były poruszone, zwiędłe kwiaty w nieładzie i zobaczyłam mój wizerunek delikatny, precyzyjny, jakby nie ludzką ręką robiony.

Pomyślałam sobie: kochać mnie wtedy prawdziwie zaczął, kiedy w moich rysach sława mu się ukazała, malowana martwa rywalka.

— Ha! nareszcie—zawołał Lolo,—wstydź się taką być złośliwą i niedobrą, żeby aż przez całe dwa dni prawie mi się wcale nie pokazywać. Pewno ci ani razu przez myśl nie przeszło, co ja tu sam bez ciebie porabiam.

— Przyszłam jak widzisz.

— Tak ale prawdopodobnie przyszłaś dla tego tylko, że lękasz się, że portretu przed moim wyjazdem wykończyć nie zdążę. Chociaż wiesz

co, teraz kombinując widzę, że pomimo największego pośpiechu nie będzie to mogło nastąpić. Wyjedziesz już tak niedługo, a przy portrecie wiele, bardzo wiele jest jeszcze do roboty.

— Ha cóż zrobić trzeba go chyba do przyszłego roku nieskończonym zostawić. Wyjazd w żaden sposób odłożyć nie mogę. Mój mąż na oznaczony dzień czekać na mnie będzie.

Ale Lolo zdawał się nie słuchać tego, co ja mówię.

Siadł tuż obok mnie i przerwał nagle:

— Słuchaj, proszę bądź szczerą, ale tak zupełnie szczerą, tak jak wtedy, czy pamiętasz, jak jeszcze byłaś bardzo młodzieńką. Powiedz mi prawdę, dla czego przez te dwa dni widzieć mnie prawie nie chciałaś?

Milczałam, on ciągnął dalej.

— Przypuszczam, że przez kaprys tylko, bo gdybyś się była zastanowiła jaką mi tem przykrość sprawisz, to wiem że byś była tego nigdy nie zrobiła. Czy wiesz? Dopiero teraz, gdy cię nie było, zrozumiałem, jak mi całą duszę wypełniłaś, jak mi ciebie brakowało, jakby mi kto połowę mnie samego odebrał.

Mnie w głowie szumieć zaczęło, a Lolo dalej mówił głosem miękkim i harmonijnym, którego urokiem zdradziecko chciał mnie ukolysać i opłatać, słuch mój lechtał jakby delikatnem aksami-tnem dotknięciem.

Nie wiem dokładnie, co mi mówił, to tylko mi wyraźnie w pamięci pozostało, że prosił i błagał bym do Monachium na zimę przyjechała. Ja nie nie odpowiedziałam, bo w umyśle słowo: Zemsta! mi huczało lecz niestety sztucznie wywoływane. — Powtarzałam go sobie, by jego dźwiękiem chęć do tej zemsty w żyłach sobie zapalić; mówiłam do siebie zemsta jest rozkoszą bogów! Czara tej rozkoszy ust twoich prawie dotyka, nachylić ją tylko potrzeba z rozkoszą poić się będziesz. Lecz jabym ją nachylić się nie miała, a z głębi serca mimo mego oporu wysuwało się jakieś pragnienie by ręką do Lola wyciągnąć, opleść nią głowę i powiedzieć komuś cię! życie bym za ciebie oddała.

Milczałam. Widziałam, że to Lola denerwować zaczyna. Nareszcie rzekł dobitnie z pewną niecierpliwością w głosie:

— Przyjedź koniecznie, błagam cię, choćby dla samego portretu, żebym go wykończyć mógł. Pamiętaj, że ten portret to będzie moja sława.

Mnie te słowa, jakby ze snu przebudziły. I szalony gniew mnie ogarnął, bom sobie pomyślała że on mnie tylko przez pryzmat swojej sławy kocha, miłość wyznaje, a jednak myśli ciągle o swojej sztuce i sławie. I nagle wściekła mną zazdrość ogarnęła, o tę moją rywalkę, sztukę którą wyraźnie widziałam przed sobą, w postaci moich własnych rysów martwych tylko i malowanych, a jednak przeslicznych delikatnych, jakby się ich ludzka ręka nigdy nie dotykała. Uśmiechały się do mnie i zdawały z tryumfem spoglądać. I myślałam sobie, że ta rywalka większą część jego serca zajmuje, a że ta mała reszta, dopiero jest dla mnie.

Ha zemsta!—Zemsta krew moją zagotowała teraz już prawdziwym nie sztucznym wywołanym ogniem po moich żyłach krążyła. I po wiedziałam sobie, że choć sił mi zbrakło zadraśnąć w nim to uczucie, które mnie było oddane ale potrafię zranić jego miłość dla sztuki i sławy. Więcej je kocha aniżeli mnie, głębiej więc tę ranę odczuje. Już wiedziałam, co zrobić. Postanowiłam zniszczyć i sprofanować najpiękniejsze jego dzieło arcyzmu, jego sławę. Zemsta jest rozkoszą bogów! w głowie mi huczało!

Zakosztuję już nareszcie tej olimpijskiej rozkoszy. Wstałam szybko. Obok leżała paleta na niej rozmaite farby były rozłożone. W jakiejś czarnej brzydkiej dłoni moją umaczałam i przesłałam nią gwałtownie przez moje rysy na portrecie...

Obrzydliwa czarna smuga zakryła je prawie całkowicie i znikło piękne dzieło sztuki, i którego jeszcze przed chwilą sława Lola promieniała.

— Ani mnie, ani twojej sławy mieć nie będziesz!—zawołałam, gniewu nie hamując, z moich czynów i myśli sprawy sobie nawet nie zdawałam, byłam jakaś oszołomiona, jakby nieprzy-



tomna. Nie umiem określić zdziwienia Lola: coś zrobiła? — rzekł rozpaczliwie.

— Nie tyś nieprzytomna. Powiedz, co to ma znaczyć?

— Chcesz wiedzieć co to jest... to moja zemsta.

— Zemsta!!! za cóż?

— Za cóż? zaraz cię objaśnię. Czy pamiętasz jak przy tobie malowałam pagórek z kioskiem. Zrobiłeś wtedy wszystko, co było w twojej mocy, żeby mnie w sobie rozkochać. Gdyś swego dokazał, powiedziałeś obojętnie bym... wyszła za innego, boś ty mojej miłości chciał tylko dla swojego chwilowego kaprysu, dla zabawki. Otóż wiedz o tem, że powiedziałam sobie wtedy: zemścić się, bo wziął całe moje serce, a w zamian okruczności tylko daje. Chciałam ci tak samo serce zabrać, a później odepchnąć. Ale zauważyła, że u ciebie sztuka na pierwszym stopniu, że to jest najslabsza twoja strona, na której, każde draśnięcie najwięcej odczuć potrafisz. — Dla tego zniszczyłam najpiękniejsze twoje dzieło i ja przecież kochałam piękno, a moim brutalnym wandalizmem zaparłam się jego poczucia.

Lolo przez chwilę nie mówił, tylko jakoś dziwnie patrzył na mnie, a tak przenikliwie, że dotąd wyraźnie ten wzrok pamiętam.

— Dziękuję ci bardzo, dziękuję — rzekł nareszcie, teraz przyszła na mnie kolej dziwić się. — Tak oddałaś mi wielką przysługę, dziękuję ci, — ciągnął dalej. — Dziwisz się? nie ma czemu, takeś mnie w ostatnich czasach zdradziecko opłatała twoim czarem, żem cię coraz więcej kochał, tak jak jeszcze dotąd nigdy nikogo. Czułam się bardzo nieszczęśliwym i żałowałam, żeś nie moja wyłącznie i na zawsze. Teraz niczego nie pragnę i niczego nie żałuję. Przestałaś być już dla mnie niebezpieczną. Spójrz na lustro, zobacz jakie twoje rysy brzydkie jak złościa pokrzwione, zobacz jakie twoje ręce brudne i czarne, spójrz na twoje dzieło jakie proste i trywialne, na to samo zdobyłby się i... człowiek wcale nie cywilizowany. Nie kocham cię już. Cały urok zdarłaś z siebie. Oddałaś mi wielką przysługę, boś mi spokój powróciła. Dziękuję ci. — Nie mógłbym cię już teraz kochać.

I wyszedł, a ja słowa przemówić nie mogłam, bo mnie wstyd i żal do ziemi przysgniał. Zemściłam się. I to się rozkoszą bogów nazywa? Gdzie rozkosz? Gdzie zemsta? W umyśle wstyd, niesmak, obrzydzenie dla siebie samej, to jej ślady.

Lolo pięknie zwyciężył moją zemstę, a siebie poniżył, zaślepiona zawziętością, uczuciem pychy, egoizmu i zazdrości, mojej natury się zaparłam, kłam zadałam moim wyobrażeniom i pojęciom, byłam wielbicielek piękna, a zaparłam się jego poczucia. Nie ja chyba byłam nieprzytomna, kiedy się na odwagę zdobyła, by takim brutalnym wandalizmem splamić sobie ręce.

Prawdę powiedział Dumas że jeżeli chcemy kogoś błotem obrzucić, to sobie najpierw swoje ręce własne pobrudzimy. Oczy przymknęłam żeby nie widzieć mojego dzieła zniszczenia. I to była moja zemsta? Czy wszystkie są takie olimpijskie rozkosze?

Ja ją chciałam wykonać piękną, ubraną w kwiaty i blaski, chciałam przy jej wypełnieniu rozkoszy doznawać, a ona zdradliwa, wyciągnęła mi z serca najbrzydsze uczucia. A w zamian za rozkosz dała niesmak wstyd i upokorzenie. Nie mścił się chyba nigdy ten, który powiedział, że zemsta jest rozkoszą bogów. Trzeba być chybą bogiem, a nie człowiekiem żeby mózgić tej rozkoszy doznawać, bo nam terazniejszym ludziom, do dawnych pojęć Olimpu zniżać się nie potrzeba, bo nasz Bóg przebaczać nauczył, a im to uczucie nieznanem było... My o całe niebo wyżsi od nich jesteśmy, w przebaczeniu tylko znaleźć moglibyśmy prawdziwą rozkosz i piękno.

Od tego czasu Lola nie widziałam i staram się go nigdy nie wspominać. Cóż kiedy myśl, nie go nigdy do woli naszej nagiąć można; a bez niego w sercu i umyśle smutno i bezbarwnie. Pusto mi jakoś ciągle, ja chcę tylko teraz gwaru i śmiechu i barw rozmaitych jak najwięcej. Przychodzi mi czasem na myśl zapytanie, czy są

gdzie w jakim zakątku ziemi ludzie, którzyby ze swoich przyzwyczajęń małe, najdrobniejsze ustępstwo zrobić potrafili? Czyby to rzeczywiście dla mojego męża było tak wielkim bohaterstwem trochę mniej polować, a być więcej ze mną?

Jabym w zamian gotową była wyrzec się wszystkich wspomnień. Ach! samotności tak się lękam, nie lubię. Lękam się jej, a najbardziej wtedy kiedy świat ponury i zachmurzony i blaskiem słońca do mnie się nie uśmiecha, a wiatr jęczy i wyje. Wiatr to mój największy nieprzyjaciel. Gdy się tak rozbija i szaleje, to mi się wydaje, że on jest wyobrażeniem myśli ludzkiej, która się tak samo kołaczę pomiędzy ścianami jakiejś pustej przestrzeni, i napróżno ją sobą samą wypełnić usiłujemy! Jęczy, wyje i błaga o litość i rozpacza, że się ta pustka nie zacieśnia.

Przed chwilą ten okropny jesienny wiatr mnie dręczył i nerwy moje torturował. By go zagłuszyć zajął się czemś serdecznym, i na chwilę chociaż o nim zapomnieć sięgnęłam w przeszłość i wydobyłam z niej garść obrazków. Ach! zamysliłam się tak głęboko i nie zauważyłam! Jaka cisza! Chwała Bogu, wiatr ustał...

Zamknijmy księgę wspomnień.

## TEATR.

**Bez wyjścia** sztuka w 4-ach aktach pp. Ignacego Grabowskiego i Antoniego Knolla.

Premiera, o której sprawozdanie napisać mamy, skreślona została przez dwóch autorów, z których jeden, p. Ignacy Grabowski, dał nam się odrobinę poznać jako autor: *Szarady*, jednoaktówki dość udatnie napisanej, o drugim zaś nic nie słyszeliśmy i po raz pierwszy z nazwiskiem jego na afiszach się spotykamy. Mamy więc do rozpatrzenia sztukę, autorów: *bardzo mało znanego i nieznanego wcale*. Na czyją więc dole lepsza część utworu przypadnie, o tem już niech między sobą rozprawiają zwiazani tajemnicą pisarzy — krytyk musi podane sobie dzieło rozpatrzyć jako utwór jednostki.

Wszelki początek jest trudny, mówi nam stara prawda, na kaligraficznych nawet kajetach wypisana. Z trudnościami walczy oracz biorący po raz pierwszy lemię do ręki, z trudnościami walczy i pisarz, szczególnie ten, który za przedmiot pracy obrał — dramat. Szybkość działania, wykreślona granica czasu i miejsca, ujęcie ręką śmiały nici intrygi i roznucie ich misterne, baczne zwrócenie uwagi na działające postaci, które nie w sylwetkowym zarysie pierwszej lepszej powieści czy noweli, lecz w pełni prawdy występują grane przez żywe osoby, cała zresztą skala uczuć, nie bezpośrednio wypowiedziana przez autora, lecz ujawniona w czynach działających bohaterów i półbohaterów: to są trudności, które pokonać mogą, albo genjusz, jakim z „Bożej łaski“ był Will stary, albo długie lata pracy i sumienne rozpatrywanie przeróżnych objawów życia ludzkiego. Ponieważ w danym wypadku nie mamy do czynienia ani z genjuszem Szekspira ani z pisarzami o umysłach wytrawnych, lecz z dramato-pisarzami odbywającymi dopiero nowicyat — co krok widzimy zatem przeszkody nieusunięte, potknięcia się o próg nie dającej się przeskoczyć psychologii, omijanie zagadek, wymagających koniecznie rozwinięcia.

Bezlitośne smaganie nowicyuszów lub babska jakaś pobłażliwość niczego nie uczą, a wiele złego zrobić mogą. W pierwszym wypadku niepewne siebie talenty łamią się, w ostatnim zaczynają pychę grzeszyć i zamiast rozpatrzyć się w błędach poczynionych, odurzają się kadzidłem niezdrowych pochwał i dochodzą do kresu, u którego zapóźno dowiadują się o zmarnowanym talencie. Zjadliwa nagana jak też nie-

zasłużona pochwała — do niedźwiedzi posług zaliczone być muszą.

Zimy ubiegłej p. Grabowski dał nam sceniczny obrazek zatytułowany *Szaradą*. Drobnostka ta pełna humoru i ruchu, lecz dostrzegliśmy w autorze nerw sceniczny i pewien rozmach cechujący bez zaprzeczenia talent. Lecz jednoaktowa humoreska to nie dramat wypełniający wieczór cały; żart krotoczwilny to nie starcie się namiętności i walka dusz ludzkich. Kardynalnym błędem omawianego utworu jest może to właśnie, że jest on dziełem dwóch głów, dwóch talentów — kto wie czy równomiernych. Czego jeden niedopowiedział, drugi dopowiedzieć nie umiał, wywiązała się więc jakaś walka chęci z niemożnością, mieszanina rzeczy dobrych, psutych przez figlarza jakiegoś wtrącanie się. Gdybyśmy mieli przed sobą rękopis sztuki, o której mówimy, z całą dokładnością, bez opuszczeń żadnych wykazalibyśmy błędy i braki — tak zaś, musimy poprzestać na wykazaniu w głównych zarysach tylko grzechów, właściwych zresztą każdemu, który poraz pierwszy z piórem pobratał się.

Autorowie sztuki „Bez wyjścia“ wprowadzają nas odrazu *in medias res*. Jesteśmy w domu państwa Józefowstwa Molskich. Dowiadujemy się, że Józef Molski, syn Adama i Doroty Molów (gdy starzy zrobili milion, Molskimi się nazwali) leży złożony jakąś chorobą; że żona jego Laura jest córką zbankrutowanych baronów Turońskich, do której ma pretensję matka Józefa, że chorego nie pilnuje męża, lecz zabawia się z doktorem Alfredem Berem. Chłopskich usposobień niewiasta przeczuwa nawet nieszczeście, przed niewodem ryby łowi i zgodnie ze swoją nieokrzesaną naturą obchodzi się z synową i mężem. D-r Alfred leczy Józefa, ale zarazem chce stać się lekarzem serca pięknej Laury — lecz ona umizgi doktorskie przyjmuje tak, jak na uczciwą kobietę przystało. Znaczącym ruchem wskazując panu Alfredowi pokój męża, opuszcza salon, po chwili wchodzi Zygmunt Życki administrator dóbr Józefa, młody i piękny, ze swoim przyjacielem Dr. Janem Byliczem, którego wezwał (zdaje się nie proszony i nie dziękowany) do chorego męża pani Laury. Przybycie nowego doktora rozdrażnia Dorotę, która wierząc w bożą tylko pomoc, w przybywaniu lekarzy widzi jeno wyludzanie pieniędzy od chorego syna. Poznajemy tu i barona Jerzego Turońskiego, stryja Laury, od którego, podczas rozmowy z Byliczem, dowiadujemy się, że zawiaklane interesy majątkowe jego brata, zmusiły go do wydania córki za syna dorobkiewicza. O ile w tem małżeństwie brało udział serce Laury, jej wola, jej zgoda — to zostało dla widzów tajemnicą, jeśli zaś kto chciał tego udziału zaprzeczyć — to w pewien kłopot wprawiałby go późniejszy wyrzut Laury mężowi uczyniony, że — nigdy jego serca nie miała, że nigdy nie dzielił się z nią swymi myślami i troskami! Zawiazkiem dramatu, bez czegoby prawdopodobnie do katastrofy nie doszło — jest wywołanie przez matkę na Józefa, by oddalił starą służkę, który jeszcze był sługą ojca Laury. Dorota z zasady nie lubi panów i wszystko złe im przypisuje, państwo też zawróciło głowę i staremu Adamowi, który, dla zrzucenia z siebie chłopskiej skóry, Molskim się przezwał i syna z arystokratką ożenił. Wchodzący, chory Józef, wydaje rozkaz Życkiemu, by starą służkę Turońskich natychmiast odprawił, lecz Wiktorja Ciernik, pokojówka Laury a córka odprawionego, donosi o tej krzywdzie swej pani, która ją upewnia, że mąż cofnie rozkaz niesłuszny. Następuje spotkanie się Józefa z Laurą. Z niewytłomaczoną ironią mąż do żony przemawia, która z żalem go pyta, dla czego jest tak zimny dla niej, dla czego cieplejszym słowem nie przemówi nigdy, dla czego, prócz słów: „Jakaś ty piękna!“ innych nie słyszy, dla czego każe się jej pozbyć wszystkich pamiątek nawet, co lata jej dziecięce przypominają? Do tych pamiątek należał i stary sługa. „Jaka ty piękna!“ odzywa się Józef i każe usiąść przy sobie żonie, powtarzając raz jeszcze ulubiony wyraz. Daje jej swe czoło do pocałowania i drażni go chłód pocałunku.



Ulega wreszcie prośbom żony. „Jeżeli—mówi—wydany Życkiemu rozkaz odprawienia sługi nie został spełniony — rozkaz cofnę.“ Zapytany Życki—czy rozkaz wypełnił—odpowiada przecząco. To oburza Józefa. Na tłumaczenie się rzadcy, że nie uczynił tego dlatego tylko, że był pewny cofnięcia rozkazu, Józef unosi się gniewem i daje mu naukę o sumiennym wypełnianiu obowiązku. Ta nauka oburza Życkiego, który dziękuje za służbę panu i mówi o opuszczeniu domu Józefa. Tu zrywa się nagle Laura—Józef mierzy ich oczyma, uśmiech niemej ironii mówi, że—w sercu męża zbudził się wąz podejrzania. Na wiadomości, podanej przed tem nieco, o przyjeździe Izabelli Turońskiej, matki—i Marty—siostry Laury—i na tej scenie milczącej między Józefem, Laurą i Życkim—kończy się akt pierwszy — —

Rozpatrzmy go bliżej.

Niewytłomaczoną zagadką przez autorów zostało dla nas zdobycie milionowego majątku przez rodziców Józefa. Na giełdzie nie grali, fabryk nie mieli—upewnia nas baron Jerzy — tylko oszczędnością a pracą dorobili się—milion! To coś znaczy!—mówi.

Zapewne! — lecz powiedzieć łatwo, trudniej dokonać tego. Ale mają miljon—tak chcą dramatopisarze i basta!

Ważniejszą zagadką jest dla nas naprężony stosunek męża do żony. Co jest powodem cynicznie-ironicznego obchodzenia się Józefa z Laurą? Nie kochał jej?—nie nie wiemy. Podejrzewał o niewierność?—o tem dowiadujemy się później, małżonkowie zaś już przeżyli z sobą lat kilka, coś musiało zajść przed tem chyba i doprowadziło do niezrozumianego dla nas rozdźwięku w ich życiu. Tajemnicze jest również i uczucie Laury. Kochała kiedykolwiek męża czy nie? Wyrzut zrobiony mu, wyrzut bólu—potwierdzał by to przypuszczenie—ale możemy się domyślać z ich wzajemnego zachowania się, że tego nie było. Otoczeni jesteśmy nierozwiązanymi zagadkami,—konsekwencya autorów jest w tem chyba, że już do końca dramatu nie a nie nam nie rozwiązują. Zagadkową jest dla nas także szczerłość Józefa w danym przyrzeczeniu żonie, że—jeżeli Życki sługi nie odprawił, posady go nie pozbawi. Życki nie odprawił. Józef oburzył się. Co to jest? Fantazja chorego? Chyba! Lecz jaką rolę ona tu odgrywa? po co tu ta komedia? Dla tego chyba, ażeby Życki wymówił miejsce, przeraził tem Laurę i zdradził ją przed mężem. Za słabe to wiązadło na poważny gmach dramatu.

Lecz oto akt drugi.

Zbudzone podejrzenie rośnie w Józefie. W Życkim coraz silniej wzmaga się miłość do Laury. Przyjeżdża jej rodzina: matka o niearystokratycznych ruchach i siostra trzpiot lekkomyślny, o której rękę stara się adwokat Wiktor Ciemski, postać opasła, dla którego najlepszym jest miano Safanduly. Czekaający na zastępcę Życki znajduje się wciąż na salonach — Zdrowe rady Bylicza, by zaniechał gry w miłość występna, rady powtarzające się przy każdym spotkaniu — rozdrażniają rozromansowanego młodzieńca. Sam nie wie co z sobą ma robić — zostać nie może i sił nie ma, by opuścić dom Józefa. Laura, widząc się z nim, nie wierzy, w zapowiedziane rozstanie się. Nastąpić jednak ono musi, bo Józef listownie zwolnił ze wszelkich obowiązków Życkiego. „To kłamstwo!“ wybucha Laura. Życki list daje, którego Laura nie mogąc odczytać, z powodu wejścia siostry i innych gości, chowa do torebki, którą naturalnie zostawić musi na stole, by mąż do niej zajrzał. Tak też się dzieje. Józef dręczony zazdrością... powtarzający przed fotografią Laury „jakaś ty piękna“ domacał się w torebce swojego własnego listu skreślonego do Życkiego. To go upewnia o stosunku między Laurą a Życkim. Po spożyciu — z obawą trucizny, — lekarstwa danego przez żonę — każe jej usiąść przy sobie „jakaś ty piękna!“ powtarza raz jeszcze i rzuca pytanie: czy kochasz mnie? Żona milczy. A więc nie kochasz? Tak—Laura potwierdza. Nie kocha *jego*, musi więc kogoś *innego* kochać. Wymienia nazwiska. Ten ma tę wadę, ten taką, Życki?—a! on o ka-

dej Walerki i Kasi wdzięki ubiegać się potrafi. Na te słowa Laura wydaje okrzyk zgrozy i ostatecznie się zdradza.

Podczas tego aktu odbyła się jeszcze scena z rodzicami Józefa, w której Józef wymawia dom matce. Matka mu dokuczyła ciągłymi wyrzutami, że doktora opłaca, wydaje grosz niepotrzebnie. Laura uczuwa wstręt do Życkiego i przy spotkaniu się czyni mu wyrzuty i nieuczciwość wyrzuca. Życki nie rozumie słów Laury, powiemy otwarcie, że i my nie rozumieliśmy także.

Jak rzekliśmy — *niezrozumiałość* jest główną cechą dramatu. Józef, właściwie autorowie, kazali tylko na to napisać Józefowi list do Życkiego, by on dostał się przez torebkę Laury napowrót do Józefa. Lecz gdyby i tak było? Co ten list zawiera? Wymówienie posady przez pana. To nie miłosne zwierzenie się przeciw kochanku. Pan rzadca mógł ten list wręczyć *pani* i prosić ją, by się do *pana* wstawiła. Zkądże tyle awantur? Oprócz zużytego efektu gubienia listów, niekonsekwencya wypadku tu jest naddatkiem. Z wytłomaczeniem nam przyjdzie znów chyba rozdrażnienie chorobliwe Józefa—ale o tem już mówiliśmy wyżej.

Najslabiej zbudowany jest akt trzeci. Rzecz dzieje się w ogrodzie—osoby wchodzą i wychodzą i błądzą jak mary na Elizejskich polach. Czyni to wrażenie jakby autorowie nie wiedzieli sami, co z nimi zrobić. Ale tu dowiadujemy się, że Józef chce zgody z żoną, Turoński ma ją przeprowadzić, lecz Laura żąda rozwodu. Pan stryj jak wodą zimną oblewa ją słowami: „Pieniędzy trzeba a Józef nie da!“ Laura rozpaczka. Pan stryj pociesza synowicę. Życie nie raj—to prawda—ale... można je uprzyjemnić bez zrywania z nielubianym nawet mężem. „Rozluźnić trochę węzły, ma belle—rozluźnić, rozumiesz ma belle?“

Laura zrozumiała i czuje pogardę dla świata, niechęć do życia. Nadchodzi doktor Ber, a widząc samotną, czyni już jej bez żadnej ceremonii wyznanie miłości i porzuca w ramiona. Gwałtowna scena kończy się wyrwaniem się z objęć napastnika, następnie spotkaniem się z Życkim, który udowodniwszy niewinność swoją, czuje na swoich piersiach piękną głowę Laury a na swych ustach jej pocałunek gorący. Zapomnieliśmy wspomnieć o groźbie matki Józefa, że jeżeli syn umrze—wypędzą Laurę. Niech idzie na łaskawy chleb do jasných państwa.

Akt czwarty i ostatni jest dniem zaręczyn Marty z Ciemskim.—Komiczny adwokat żąda od swej narzeczonej pozwolenia ucałowania szyjki—Marta niegadza się, ale, zostawszy sama, daje się uściskać doktorowi Berowi, który dokończenie na później zostawia. Świadkiem tej sceny ohydnej jest Laura.—Okropność—brud i zgnilizna ją otaczają. Zostając tu dłużej, zostanie „ladacznicą, — chce być czystą—więc—ucieka z kochankiem.—W dali brzmi muzyka, słychać szmer par tańczących. Józef szuka żony, uważając tę chwilę za stosowną do przebiegania jej. Ale dowiaduje się o wyjeździe jej z Życkim. W szale gniewu rozpędza gości na cztery wiatry. „Ha! nie zaznasz szczęścia—woła—krwawym upiorem stanę pomiędzy tobą, a nim. Jaka ona piękna! powtarza raz ostatni i—w łeb sobie pali. Tytuł sztuki; „Bez wyjścia“ niezupełnie jest właściwym.—Znalazł wyjście Życki, uprowadzając żonę Józefa, znalazła wyjście Laura, uciekając z kochankiem, znalazł wyjście Józef w kuli rewolwerowej, choć Bogiem, a prawdą sytuacja jego do rozpaczliwych nie należała.

W tej scenie balowej jest dla nas niezrozumiała bytność Życkiego na salonach Józefa, który miał prawo, mógł i powinien zamknąć panu rzadcy drzwi swojego domu. Za brutalne jest także wypędzenie gości za drzwi. A toby nie każdy wyszedł, znalazłby się ktoś przecie, który imperytynenta, nauczyłby grzeczności. Zabójstwo Józefa niczem także tłumaczyć się nie daje. Jest ono wynikiem jakiejś chłodnej zemsty—zrozumianej w człowieku pozbawionym wszelkich uczuć wyższych. Charakter Józefa jest za nikły, za bierny, za mało mówiący, ażebyśmy mu słuszność w podobnym rozwiązaniu zagadki życiowej

przyznali. Na ogół biorąc, pod względem artystycznym i dramatycznej budowy, sztuka jest chybiona, ratuje ją jednak parę scen dobrych, szczególnie w akcie 1 i 2 i język poprawny, poetyczny nieraz.

Świat, na który patrzyliśmy, jest światem tak cuchnącym, że, aż chce się zapytać autorów, a skądżeście wy tyle zgnilizny naraz nabrali?—Nikczemny Ber, Marta dająca mu się całować, Stryj Laury, sam nawet Józef nie patrzy zdrowiem. Życki—to mazgaj rozromansowany, Ciemski głupiec, a Laura... Tak! to zdaje się być dobra istota, lecz nie wiemy nic o udziale jej woli, rozumu i serca w małżeństwie z Józefem.—Starzy Molscy, szczególnie Dorota, zarysowani są nieźle, doskonałą za to figurą, konsekwentną od początku do końca, prawą i czystą jest Jan Bylicz.—Tej postaci można autorom pozazdrościć—i ona mówi o talencie surowym, jeszcze, potrzebującym dużo pracy i obserwacji naszych nowych dramatopisarzy.

Wykazując błędy kompozycyji nie zniechęcam, lecz zachęcam do dalszej pracy. W czytaniu wady sztuki nie są tak wybitne jak na scenie. Między widzami widzieliśmy p. Grabowskiego i sądymy, że poczną zalety i dostrzegł braki. Wyzywanie autora przez publiczność, gorące owacye jakie go spotkały, powinny go zachęcić do pracy dalszej; powinien też uczuć i wdzięczność dla tych, którzy go nie ludzili zdawkową monetą pochwał, co by go obrazić tylko mogło, lecz szczerze przyklasnęli tam, gdzie warto było przyklasnąć, a życzliwych rad nie skąpili.

P. Grabowski ma talent—i niechże nim z nikim się nie dzieli.—Pierwsza to próba w napisaniu rzeczy większej. Pójdą inne—lepsz!—Za zasługę poczytujemy też reżyserowi, że szuka sił młodych. Do młodych należy przyszłość—to prawo natury!

Rzecz była graną doskonale. Ładnowski, jako Józef, trudną rolę swoją pojął wybornie i świetnie odegrał. Panna Czaki (Marta) była niezrównaną, Bolesławski (Bylicz) godzien oklasku, panna Majchrzycka, wywiązała się także dobrze z trudnej roli Laury.—W ogóle wszystkim artystom naszym nie do zarzucenia nie mamy.

K. Gliniński.

## PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

Inaczej odczuwał i odtwarzał przyrodę olbrzym romantyzmu niemieckiego, Szyller, ten „wieszcz idei“, jak go Carriere nazywa. Podniósł on sztandar tej idei wysoko po nad świat rzeczywisty, w wyżyny, gdzie, jak Zeusa w utworze p. t. „Semele“, wszechświatów wir okrąża czoło poety. Śród tych wszechświatów Szyller ogląda głębie ducha ludzkości. Genjusz jego, w przeciwstawieniu do genjusza autora „Fausta“, jest genjuszem dziejów ducha ludzkiego, a nie natury. Serce jego, będące świątynią idei, głosi tryumf ducha nad przyrodą, a brak mu tego ciepłego, naturalnego oddechu, który by zbierał je z rzeczywistą wonią lasów i pól kwiecistych; duszy poety brak tej melodyi, która by wtórowała dźwiękom przyrody. Wpatrz-



ny w wyżyny ideału. wzlata ku niebu, pozostawiając za sobą na nizinach ziemi świat zmysłowy, nęcący krasą barw, harmonją kształtów i linii, gorącym oddechem życia. Z wyżyn, na które wleciał, duch poety widzi przyrodę nie tuż obok oka i serca swojego, a zdaleka, we mgle smutku i melancholii, lub w obłokach zadumy czarownej. Natura w pieśni Szyllera jest częścią jego dumań poetycznych, a nie wizerunkiem piękną, dostrzeżonym w rzeczywistości. W zadumie swej poeta ogarnął świat cały uczuciem Pigmaljona, który tuli skroń do stworzonego przez siebie posagu, aż „tchnął i zmartwych do niego wstał,” a wówczas świat ten, niemowa pierwszej zawtórował pieśni wieszczą.

Nie zbratała się jednak dusza śpiewaka ze światem natury. Szyller, jak ów „Pielgrzym” w jego pieśni, pogonił gdzieś w świat inny za swą wiosną, za słońcem promienistym idei, do bram złotych, gdzie niebo, jak marzył, znieśmiertelni za wieczność całą ziemskość jego. A w pochodzie tym na wyżyny skarży się na różne przeszkody:

„Góry bieg mi tamowały;  
„Potok stawał mi na drodze;  
„Ścieżną pnę się na skały,  
„Lub po kładce toń przechodzę.

„Nad urwiskiem wreszcie stoję,  
„Kędy rzeka na wschód płynie,  
„Szczęsny, los swój prądom zdaję,  
„Zanurzam się w wód głębinie.

„W przestwór mór bez dna i brzegu  
„Unosi mię fala chyża;  
„Tu znów pustka świat zalega,  
„A do celu mnie nie zbliża.”

(Przekład Konstantego Gonińskiego).

Widzi wreszcie poeta próżność swoich usiłowań, i płacze, że „niebo nie chce się nad nim skłonić, a na ziemi znaleźć go niepodobna.”

Niekiedy tylko serce śpiewacze zbliży się do ziemi i żywszy oddech jej pochwyty; naówczas ogląda góry, „w szczytach słońca ozłoczone,” łany, życia pełne, słyszy szum lip i ptasząt śpiewy; naówczas ożywia go wietrzyka tchnienie balsamiczne. W innym znowu miejscu wciąga w pierś swoją rzeźwiącą woń poranka, słucha pieśni zbudzonych skowronków, wita słońce, które „czarem się śmiejąc, płonie w objęciach młodzieńczych jutrzeńki.”

Często jednak nuta zachwytów poety nad przyrodą podnosi się do nastroju zbytniej napuśzystości, albo mięknie we łzach sentymentalizmu.

Dla miłości natura jest zazwyczaj w pieśni Szyllera tylko cichem, uroczem schronieniem, które ją od oczu ludzkich zasłania, jest dla niej namiotem zielonym, który stroi się w liście, aby ukochaną przyjąć w cień uroczy. I oto czego jeszcze pragnie poeta od przyrody dla tęsknie oczekiwanej kochanki:

„Gałązki, w gęstym wiązcie się uplocie,  
„Niech ją rozkosznie tajna noc otoczy!  
„Wstańcie, wietrzyki, i w lekkim polocie  
„Owioncie lice, igrajcie z warkoczy!”

(Przekład Augusta Bielowskiego).

Po chwili jednak zaduma tęskna przynosi poetę na swych skrzydłach prawdziwie czarodziej-  
skie obrazy przyrody, nawskroś tchnieniem mi-  
łości przejęte:

„Duch mój owładła pieśń precudnej zgody:  
„Srebrnemi dźwięki wodotryski dzwonią,  
„Całusom wiatrów kwiat się kłoni młody,  
„Wszystko wzajemną napawa się wonią;  
„Wabi winogron, rumiane jagody  
„Z pod gęstych liści chylą się, to słońca;  
„Powietrze, wonną zaprawione falą,  
„Wysysa żary, co mi twarz przepala.”

(Przekład Augusta Bielowskiego).

W ogóle obrazów przyrody, drgających życiem własnym, pełnych barw świeżych i naturalnych, nie wiele napotykamy u Szyllera. Gdzieś-niegdzie tylko, jak gdyby przypadkiem, wyobrażenia poety je odnajduje, jak np. wspaniały wizerunek otchłani wodnej w „Nurku,” gdzie wir fal morskich:

„I wre, i kipi, i huczy, i pryska,  
„Właśnie, jak woda, gdy się z ogniem zetrze,  
„Aż pod obłoki szumną pianę ciska,  
„Dmą się bez końca bałwany w powietrze,  
„Niewyczerpany miesze wał przestworze,  
„Jak gdyby z morza miało powstać morze.”

(Przekład I. N. Kamińskiego).

Gdy Goethe przez rzeczywistość patrzył w świat ideału, Szyller przeciwnie, oczyma ideału rzeczywistość oglądał. W duszy Goethego wszechświat, jak w zwierciadle jasnym się odbijał; z duszy Szyllera wyglądało natchnione oblicze ideału, który z własnych pierwiastków duchowych świat wytwarzał. Goethe widział obrazy; Szyller potężne, wspaniałe cienie uczuć i myśli. Goethe we wszechświecie oglądał wielkość ducha swojego; Szyller zaś woła, że „duch podniosły daje swą wielkość życiu, ale nie szuka jej w niem.” Więc Szyllerowi przyroda ukazuje cudne oblicze swoje w rozmyślaniu, a nie w obserwacji; przechodzi ona nie w krew jego serca, a w myśl, w ideę, na uczuciu zresztą do pewnego stopnia ugruntowaną.

\*

\*

\*

Dalekim też od wspaniałej harmonii ducha z przyrodą był wielki poeta Anglii, Byron, o którym można powiedzieć własnymi jego słowami:

„Co innym śmiercią było, tem życie przewlekał,  
„Zbrzydził społeczność ludzką, w pustynie ucie-  
[kał;  
„Żył w przyjaźni z górami, myślą do gwiazd lata;  
„Wdał się w rozmowę z wielkim genjuszem  
[świata;

„Wzbogaconemu nauk czarodziejskich zbiorem,  
„Tajemna księga nocy stanęła otworem:  
„Jego kłatwą wyzwane z głębokości ziemi,  
„Duchy go otoczyły—i został się z niemi.”

(Przekład Adama Mickiewicza)

Byron, jak Rousseau, ukochał przyrodę przez nienawiść dla ludzi, a właściwie przez nienawiść dla nędzy ducha człowieczego, dla poziomych jego dążeń, dla obłudy i banalności życia. Poeta stanął przed obliczem skostniałej w martwocie ducha ludzkości z płomiennym mieczem wzgardy i szyderstwa, zapragnął z wieżów tej martwoty ducha jej wyzwolić, dać mu orle, swobodne loty, dać mu samoistność, a nawet w pewnych kierunkach życia samowolę bez okiełznania. Z burzą, szumiącą w potęgę wezbranych, nieukróconych, nieujętych w żadne karby żywiołów myśli, uczucia i namiętności, płynie po niezmierzonych falach mórz, przebiega po uroczych, a krwią ludzką napojonych krainach Hiszpanii, po żyjących nieśmiertelnymi pamiątkami przeszłości grobowcach Grecji, pod niebem płaczącej na ruinach, jak Niobe, Italii, a wszędzie niesie duszę, pełną bólu głębokiego, pełną umiłowania ideału, a pogardy dla rzeczywistości. Ta smutna, pełna melancholii dusza poety przegląda się w błękitnych falach morza, дума o wieczności na szczytach Alp, o wolności pod niebem Grecji. Poeta idzie po łąkach i płynie po morzach z jakąś lampą czarodziejską, w której wszystkie światła ducha jego płoną, i ziemię całą w barwach tych światła ogląda. Żywioły wszystkie drgają tętnem duszy jego, burzliwej, nieokiełznanej. Duch jego swobodny, buja „na modrych głębiach jasnej morskiej wody,” na podobieństwo fal, które z wiatrem igrają. Tam on, jak „Korsarz,” czuje „pełność życia.” czuje

„war krwi, co pali serce żeglarza na wód bezdrożach.”

Przyroda jest dla poety ucieczką od nędzy życia. Do niej się garnie, gdy nie może żyć z ludźmi:

„Więc sobie góry za druhów obiera,  
„Za dom rodzinny oceanu tonie.”

(„Wędrowniki Childe-Harolda” Przekład A. A. K.).

Żegna tedy wraz z bohaterem pieśni swej ziemię rodzinną. W chwili rozstania ból ściska mu serce, lecz ból ten skargą i żalem nie wylewa się z serca dumnego; odczuć go można tylko głęboko ukrytym w pieśni pożegnania, odczuć go można w szumie bałwanów, w jękach dmącego wichru, we wrzasku mewy morskiej; dopatrzyć go też można w krwawych blaskach zachodzącego słońca, gdy w falach morskich tonie, w obliczu zapłakanego pazia, w bladej twarzy giermka; dosłyszeć go można w wyciu psa u bramy rodzinnego domu bohatera. Serce poety nie może jeszcze oderwać się bez bólu od tych serc, z którymi się zrosło. Choć nikt po nim nie płacze, on jednak w głębi ducha płacze po ludziach. Podłości ich nienawidzi, ale ich samych — kocha, choć szyderstwem i ironją w oczy im ciska. Z tą raną krwawą w piersi szuka ukojenia w przyrodzie:

„Kiedy z pokładu patrzymy na fale  
„I na Dyany lice, w nich odbite,  
„Milkną dnia troski, nadzieje i żale;  
„Dusza się w lata zapuszcza przeżyte.”

(Przekład A. K.).

Po chwili woła znowu boleśnie:

„... Ach, od wspomnień owych  
„Nigdy zgębiona pierś się nie wyzwoli.  
„I próżno pragnie wyrwać, co ją boli.”

(Przekład A. A. K.).

Ruchliwa dusza poety natychmiast otrząsa się z tych wrażeń przykrych i biegnie czemprędzej myślą na łono przyrody, przyrody pierwotnej, nie tkniętej, nie skażonej trującym oddechem życia ludzkiego:

„Siadać na skałach, dumać nad wodami,  
„Lasów odwiecznych przebiegać gestwinę,  
„Zamieszkiwanych przez dziką zwierzynę,  
„Nie uznającą nas, ludzi panami,  
„Po stromych ścieżkach na turnie się wdzierać,  
„Gdzie tylko dzikich kóz błądzą gromady,  
„Ze szczytów w ciemne przepaście zazierać,  
„Słuchać, jak bystre szumią wodospady,—  
„To nie samotność, to rozmowa żywa  
„Z naturą, co nam swe czary odkrywa.”

(Przekład A. A. K.).

Przez usta znów Manfreda mówi nam poeta:

„Tak mi błogo z naturą. Mnie znajomsem było  
„Ciemne nocy oblicze, niżli twarz człowieka.”

(Przekład Fr. Morawskiego).

Na łonie przyrody otwiera się serce poety, jak kwiat pod promieniami słońca; z nią on gwarzy serdecznie, ona go uczy tajemniczej mowy innego świata; w obec niej duch jego krąbną staje się pokornym, jak dziecię; jej daje najcudniejsze kwiaty uczuć swoich; jej gorącą miłość swą wyznaje:

„Natura matką jest najśłodszą przecie,  
„Wciąż wdzięku pełna mimo ciągłą zmianę;  
„Jej piersią się nasycę, ja, jej dziecię,  
„Nie odtrącone, choć nie ukochane.”

(Przekład A. A. K.).

Natura ta, według słów poety:



„Jest najpiękniejszą w pierwotności dzikiej,  
„Żadną oglądą ludzką nie dotkniętą,”

(Przekład A. A. K.)

To serdeczne obcowanie z przyrodą doprowadza Byrona, równie jak wielkiego twórcę „Fausta,” do odczucia wewnętrznej treści przedmiotów; w treści tej jednak nie widzi, jak Goethe, wszechświata całego, a jedną tylko jego część — człowieka. Duch tego człowieka buja w zjawiskach przyrody, czynnych, pełnych własnego, samodzielnego życia:

„ . . . Świat ten oniemiał  
„Od sfer gwiazdzystych do tej cichej toni;  
„W potędze życia tak skupiony cały,  
„Że nie masz listka, promyka i tchnienia,  
„Coby nie miały swej części istnienia,  
„Nie czuły Stwórcy, który wszystko chroni,”

(Przekład A. A. K.)

W tej dziedzinie wszechświata duszę ludzką przejmują „myśl nieskończoności.” Nieskończoność — bóstwo odczuwał poeta w naturze samej, a nie w rozmyślaniu metafizycznym. W „Don Juanie” powiada:

„Ja mam ołtarze na górach, w mórz szumie,  
„W przestworzach, w wszystkim, co z je-  
[dności płynie...  
„Z której się wzięła dusza, w której zginie.”

(Przekład Edw. da Porębowicza).

Duch poety ożywia przyrodę, daje jej duszę ludzką, każe jej być czynną, chwytając niekiedy oddech ziemi i daje mu życie piersi człowieczej:

„Ziemia i niebo ciche; lecz ich nie uspiono:  
„Bez tchu tylko, jak ludzie głęboko wzruszeni,  
„I bezmowne, jak ludzie, gdy w myślach utoną.”  
(„Wędrowniki Childe-Harolda.” — Przekład M. Budzyskiego).

„Rosa wdycha miłośnicie i lży zwolna sączy  
w łono ziemi.” Śród gromów jedna góra na  
huk drugiej odpowiada. W „Don Juanie,” „brzeg  
usypia,” „fale układają się do noclegu,” „sine  
góry ziemię objęły w ramiona i są stróżami drze-  
miącej natury.”

Cudowne, pełne niezrównanego uroku poezji  
uosobienie przyrody napotykamy w „Giaurze”  
w nazwaniu róży „sułtanką słowików”:

„Jej brzmia pochwały kochankowie leśni,  
„Ona rumieńcem dziękuje za pieśń.”

(Przekład A. Mickiewicza).

W „Narzeczonej z Abydos” kochanka, dając  
kwiat lubemu, powiada:

„Słowik tę różę przysyła za posła,  
„By ci pociechę i radość przyniosła;  
„I sam prócz tego, jak jej obiecywał,  
„Będzie noc całą dla Selima śpiewał,”

(Przekład A. E. Odyńca).

Biegając ku czarom przyrody, dusza czło-  
wieka, dusza poety czuje się częścią tej przyro-  
dy, połączoną nierozdzielnie z nią ogniwem:

„A jednak samym sobą ja nie żyję:  
„Czuje się częścią tego otoczenia:  
„W tych górach tętno żywe dla mnie bije.”  
(„Wędrowniki Childe-Harolda.” — Przekład A. A. K.)

Dusza poety czuje tajemnicę niebios, gór, wi-  
chrów, błyskawic, tajemnicę nocy chmurnej,  
deszczu i piorunów, czuwa wespół z niemi, a od-  
chodząc w dal gromy są echem tęsknoty jej  
bezmiernej. I śle tym żywiołom przyrody za-  
pytanie, czy są temi samymi potęgami, które  
huczą w łonie ludzkim, czy też „gdzieś pod  
niebem mają swe szczytne gniazdo, jak orlice.”

Ponieważ w piersi Byrona pełno jest burz  
i gromów, pełno mroków nocy, więc z temi groź-  
nymi żywiołami przyrody najsilniej spaja się  
dusza jego: zlewa się on z hukiem gromów, chce  
być częścią czarnej nocy i burzy. Rzadko od-  
twarza poeta obrazy, pełne cichej idylli wie-  
skiej. Miłość tylko umie niekiedy wywołać  
przed duszę jego barwy jaśniejsze. W żyłach  
przyrody zdaje się wówczas płynąć krew serca  
ludzkiego, a stroi się ona, jak kochanka, przy  
zachodzie słońca w chmury, jak w listki róży.

Morze, ten potwór szumiący, wicher, który  
gnie maszty, jakby trzciny, żagle na szmaty  
rozdiera, białe czoło Alp, które poeta nazywa  
„pałacem natury,” gdzie „tron wieczności posta-  
wiły lody,” sklepienie niebios, pełne gwiazd, tej  
„poezji niebiosów,” słowem, wszystko, co prze-  
mawia grozą, potęgą, wspaniałością, tęsknotą  
olbrzymią, bólem, co porusza najgłębsze fale  
uczuć, co podnosi duszę po nad banalność i nę-  
dzą życia ludzkiego — oto żywioły, którym wiel-  
ki poeta Anglii powierzył, jak lotnym, skrzydła-  
tym ptakom, głęboką tęsknotę duszy swojej.  
namiętności jej gwałtowne, męki, bóle i ukocha-  
nie. Tym żywiołom dał w ofierze pieśń swą,  
pełną burz, jak pełnem ich było samo życie poe-  
ty, który porzucił spokojne legowisko ludzkie,  
aby walczyć pod niebem Grecji za wspaniałą  
przeszłość tej krainy i zginął na ziemi Leonida-  
sów. A ukochał on tę krainę nad życie; duch  
jej przemawiał do niego z mogił bohaterów, poe-  
tów, z wyżyn Parnasu, z świątyni Delfów, z wá-  
wozu Termopilów. Po niej stapał on z listkiem  
z drzewa Dafny, z natchnioną duszą Pythii,  
z genjuszem Hellady, i siedł tam, gdzie:

„ . . . Ciche lśnią fale  
„Przy grobowcowej Temistokla skale.” —

wierząc, że „kiedyś się zjawi Temistokles  
drugi.”

Nie ludzi żyjących, nie teraźniejszość ukochał  
poeta w Grecji, umiłowal on w niej przeszłość  
i przyrodę. Ludźmi gardził, bo oni nie przypo-  
minali mu Temistoklesów, Leonidasów, Sokrate-  
sów i Platonów. Natomiast ukochał „niebios  
błękit,” „gór dzikie szczyty,” „gaje urocze,”  
a ukochał te czary przyrody najbardziej dlatego,  
że one:

„Zawsze te same, co i za dni onych,  
„Gdy cię Minerwy uśmiechy cieszyły.”

W innych obrazach przyrody przeglądała się  
olimpijska dusza Goethego; nadto dodać należy,  
że widziała ona obrazy jasne, o zarysach rze-  
czywistych tam, gdzie wyobraźnia Byrona oglą-  
dała delikatne, mgłą uczuć zaciemnione kontu-  
ry. Poeta Anglii nie tyle oglądał przyrodę  
oczyrna ducha, ile ją odczuwał słuchem duszy  
swej, tętnami żywo bijącego serca. Dźwięki  
i wonie silniej przemawiały do niego, niż barwy  
i obrazy.

To też pieśń jego jest muzyką cudowną, z głę-  
bi duszy wyśpiewaną, pełną harmonii i dysonan-  
sów zarazem.

Burzliwy duch Byrona nie doprowadził swej  
łodzi poetycznej do cichej przystani harmonii,  
nie pogodził przyrody z prawami życia ludzkie-

go; zburzywszy etyczne formy bytu, nie budo-  
wał nowych. Jeżeli jednak nie stworzył, wz-  
rem największego poety Niemiec, spokoju i har-  
monii, stworzył za to ruch olbrzymi, ruch potęg  
moralnych, wrzący burzą najsilniejszych żywio-  
łów duchowych, przywołał błyskawice, wstrzą-  
snał posadami ducha i zbudził wulkany. Takie  
żywioły, gdy są potężne, zwiastują odrodzenie  
ziemi; jak burza i błyskawice w przyrodzie,  
oczyszczają one powietrze z miazmatów stęch-  
łych, zwilgatlą rolę, na której potem ziarno  
nowe posiać można.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z bieżącej chwili.

— Z polecenia Warszawskiego Kuratora okrę-  
gu naukowego, przejrano wszystkie wydawni-  
wa ludowe, jakie znajdują się w katal  
i księgarniach warszawskich. Opinia  
książek, a raczej broszurek nie przekracza  
Pewna ilość tych książek wybrana ma być d  
wiejskich bibliotek szkolnych, jakie otwarte bę  
dą po uzyskaniu na ten cel funduszy.

— Muzeum zoologiczne w ogrodzie „Frascat  
ti,” zostające pod kierunkiem naturalisty i po-  
dróznika p. Sztolchmana, posiada wielkie zbior  
zwierząt, muszli, rogów, kości, jaj, owadów, m  
tyli etc. Zbiory są tak wielkie, iż się pomieści  
nie mogą w obecnym lokalu; wobec tego K. h  
Branicki zamierza wznieść nowy gmach na t  
muzeum przy ul. Foksal.

— P. Czesław Makowski, znany rzeźbiar  
wykonał dobry medalion Adama Mickiewic  
według portretu Tepy, malowanego na rok prze  
śmiercią wieszczą. Medalion ten znajduje się ju  
w handlu.

— Cały świat śledzi obecnie losy wyprawy  
Andrée’go, który się balonem puścił do biegun  
północnego. Wieści są niedokładne; parę listów  
przesłanych pocztą gołębią, nie nie wyjaśniają.  
Są jednak dane po temu, iż Andrée powinien s  
znajdować pomiędzy Szpicbergiem, a Sybery  
panowały bowiem prawie bezustannie wiaty  
zachodnie i północne; przypuszczają więc, iż  
Andrée nie przeleciał nad biegunem.

— Warszawa przywdziewa odświętne szaty,  
dekoruje się i ozdabia. Przygotowują się s  
bramy tryumfalne, ustawiają się wysokie obel-  
ski, towarzystwo wioślarskie urządza wspaniał  
korowód łodzi. Słupy obite różnokolorowemi  
materyami ozdabiają ulice miasta.

— W Moskwie rozpoczął obrady międzynaro-  
dowy kongres lekarski. W kongresie tym b  
rze udział około 8,000 lekarzy i lekarek z ró-  
nych stron świata.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu” dołąc  
się: arkusz 1 nowelli, p. t. *Ogniowa próba*, E  
warda Engel. Przekład Z. S.

**Treść:** Twórczość dramatyczna Juliusza Słowackiego, przez P. Chmielowskiego (dalszy ciąg). — Fryderyk Rückert. Powietrze  
życie, przez Władysława Nawrockiego. — Pogawędka, przez ?? — Zemsta, nowella, przez Znicza (Maryę Paprocką) (dokończenie). — Teatr, prze  
Kazimierza Glińskiego. — Przyroda w poezji, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** *Ogniowa próba*, nowella, Edwarda Engel. Przekład Z. S. Arkusz 1. — Przegląd mód. 16 wzorów i robót z opisem.  
Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.